

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.

1/2 " -- 40 "

1/4 " -- 20 "

1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

CONTRA SPEM.

W dniu 1 listopada minęły dwa lata od chwili wznowienia „Przeglądu Wileńskiego”. Nie będziemy tu powtarzali wszystkich tych wywodów i refleksyj, jakie nam się nasunęły w dwuletnią rocznicę a które zamieściliśmy w № 18 z roku ub., ponieważ stan rzeczy na ogół nieznacznie uległ zmianie.

Ta sama obojętność ogółu względem wszelkich zagadnień społeczno-politycznych, odbiegających od popularnych wzorów, to same zacierzowanie nacjonalistyczne, takie same zamiłowanie do pustych, lecz szumnych frazesów. W ciężkiej i dusznej atmosferze psychicznej nie czuć żadnych orzeźwiających podmuchów.

Natomiast warunki obiektywne uległy pewnej ewolucji. Gdy jeszcze przed rokiem dominujące miejsce wśród naszych bolączek zajmował spór polsko-litewski, obecnie na plan pierwszy się wysuwa kwestja białoruska. Napięcie jej wzmożło się ogromnie i pod wpływem niewątpliwych zdobyczy narodowych w granicach Białorusi Sowieckiej dążenia i postulaty białoruskie i po tej stronie nieznacznie ze stanowiska obronnego przeszły na pozycję agresywną. Charakterystycznym niezmiernie pod tym względem jest coraz częstsze nadmienianie w prasie białoruskiej o Wilnie, jako stolicy Białorusi Zachodniej.

Nie jest to dla nas niespodzianką. Jeszcze w lutym r. b. w artykule „Białoruś i Litwa” przepowiadaliśmy rozwój sytuacji politycznej w tym właśnie kierunku. Pisaliśmy wówczas: „Jeżeli dotychczas pozycja Litwy była o wiele silniejszą, ze względu na osiągnięty przez nią w pełnej mierze ideał suwerenności, dzięki czemu mogła ona dawać przytułek i pomoc materialną bezdomnemu „rządowi” Łastowskiego, to w dalszej perspektywie, kto wie, czy punkt ciężkości nie przesunie się do Mińska.

Wobec swego odosobnienia Litwa skazaną jest na rolę bierną i wyczekującą, wówczas gdy sfederowana z całą olbrzymią Rosją Białoruś, w miarę rozwoju świadomości narodowej i politycznej w masach ludowych, będzie stanowiła siłę dynamiczną i w odpowiednim momencie może się pokusić o inicjatywę”.

Wspomniane przesunięcie sił nastąpiło prędzej nawet, niż to wtedy przypuszczaliśmy. Niepowodzenie Litwy w sprawie Wilna na terenie Ligi Narodów przesuwając aspiracje litewskie do swej prastarej stolicy z dziedziny polityki realnej w krainę romantycznych wizyj, rojeń i pragnień, gdy przeciwnie planowa i konsekwentna polityka Sowieców nadaje dążnościom białoruskim kształty konkretne, zarysowujące się coraz wyraźniej.

Kwestja Wilna komplikuje się. Jak się ułożą wzajemne stosunki między trzema kontrahentami, z których jeden reprezentuje siłę kulturalną i faktyczny stan posiadania, drugi — prawa historyczne i skupiony wysiłek woli narodowej, wypływający z pobudek samozachowawczych, trzeci wreszcie — żywiołowy *in statu nascendi* rozpęd mas ludowych, — dziś jeszcze trudno przewidzieć. Zarówno Warszawa jak Kowno, zdaje się, nie doceniają w dostatecznym stopniu nowego czynnika konkurencyjnego. Operuje się w dalszym ciągu starymi kategorjami o „wspólnym froncie”, mimo nader wymownej enuncjacji w tej materji, która się ukazała w jednym z ostatnich numerów wileńskiego pisma białoruskiego „Sielanskaja Prawda”. Nadejdzie jednak moment, gdy rozbieżność interesów i poszczególnych dążeń ujawni się z całą otwartością, a wydaje się nam, że moment ten nie za górami.

Nie będziemy ukrywali, że zarysowująca się konfiguracja jeszcze bardziej utrudni nam naszą pracę i uczyni grunt jeszcze niewdzięczniejszym dla naszej ideologii. Zadanie naszego pisma o programie „krajowym”, polegającym na łagodzeniu antagonizmów

narodowościowych i zmierzającym do podporządkowania wymogom całości dążności odśrodkowych, staje na pozór w rażącej sprzeczności z rozwojem wypadków na tle coraz głębszego różniczkowania się sił składowych kraju. My dążymy do syntezy, gdy życie przeciwnie zmierza do rozkładu pierwiastkowego.

Być może jest to droga nieunikniona. Musimy widocznie przejść przez ten proces chemiczny, by następnie dopiero przystąpić do tworzenia nieuniknionej wskutek warunków terytorjalnych, etnograficznych i ekonomicznych formacji historycznej — być może na całkiem nowych podstawach. W wyniku ostatecznym obecnych zmagani się i sprzecznych prądów innego wyjścia jednakże nie widzimy.

I dlatego *contra spem speramus!*

Podwójna gra.

W związku z głośną sprawą podziału diecezji wileńskiej i protestu 400 księży otrzymujemy ze źródła kompetentnego poniższe uwagi, które rzucają nieco światła na zręczną grę endecji, jednocześnie planującej rzekomy podział oraz usiłującej zrzucić *odium* za ten projekt na zwalczaną przez nią stałe osobę biskupa Matulewicza. Trudno jednak oprzeć się zdumieniu wobec faktu, że endecja organizuje akcję przeciw podziałowi kościelnemu naszego kraju, co przecie jest dalszą tylko konsekwencją zapoczątkowanego przez nią podziału pod względem państwowym i administracyjnym.

Rozgłośny dziś protest czterystu księży diecezji wileńskiej *ex re* zamierzonego jej podziału, słusznie został nazwany w „Słowie“ przez ks. prałata Witolda Czeczotta „dokumentem historycznym“. Inna rzecz, że historyczność jego nie jest tego rodzaju, który przynosi wiele zaszczytu tak autorom dokumentu, jak i tym, co pod nim kładli swe podpisy. Ale zostawmy powagom kościelnym sąd o potrzebie z punktu widzenia interesów Kościoła podziału diecezji wileńskiej, jako leżący wyraźnie w sferze ich kompetencji. Spróbujmy natomiast odtworzyć genezę powstania protestu i wskazać autorów jego. Nie jest to rzeczą zbyt trudną, bo jedno i drugie jest tajemnicą polityczną.

Niema dziś w życiu kościelnym diecezji wileńskiej sprawy, o którejby endecja nie chciała decydować i rozstrzygać w myśl wskazań swej ciasnej doktryny nacjonalistycznej. Niema dosłownie żadnej dziedziny w kościele, gdzieby nie można było dostrzec mniej lub więcej ukrytej ręki endecji, dążącej wytrwale do zmonopolizowania wpływów Kościoła na lud na dobro wyłączne kramiku endecckiego. Zobaczymy niżej, że cała sprawa protestu księży tu wzięła swój początek i najściślej jest związana z konspiracyjną akcją endecji na terenie diecezji wileńskiej.

Myśl podziału diecezji wileńskiej została rzucona na początku w 1924 przez metropolitę Roppa, żywo się interesującego naszymi sprawami kościelnymi z tytułu przysługujących mu dotychczas godności hierarchicznych na terenie b. cesarstwa rosyjskiego. Niebawem po tym fakcie Biskup Wileński, Jego sufragani i kapituła, *jak jeden mąż*, zajęli stanowisko negatywne względem wysuniętego projektu, co zostało bardzo

dobitnie zaznaczone na zjeździe biskupim w Częstochowie, przez usta i *utum separatum* biskupa Michalkiewicza. Tak poważny i kompetentny sprzeciw, wyrażony przed jedynie właściwym *forum*, powinienby był uchodzić za idealną formę protestu i najzupełniej wystarczyć w oczach zainteresowanego owym projektem kleru wileńskiego. W tym jednak momencie wkroczyła na scenę endecja, świecka i duchowna, zbratana najściślej pod sztandarem „Dziennika Wileńskiego“. Jednocześnie i równie gorąco projektem podziału diecezji wileńskiej zainteresowali się ogromnie p. redaktor Obst i jeden z senatorów wileńskich. P. Obst zaraz „kropnął“ parę artykułków o podziale diecezji, w Wilnie — w swym „Dzienniku“, w Warszawie — w „Gazecie Warszawskiej“ czy też „Rzeczpospolitej“, przyczem swym zwyczajem, wbrew oczywistości, całą „winę“ podziału diecezji przypisał, nie mrugnawszy nawet okiem... Biskupowi Wileńskiemu! To wierutne kłamstwo powtarzał p. Obst kilka razy z rzędu, delectując się osobliwą uciechą, jaką mu musi sprawiać kłamstwo i insynuacja. Równoległe z akcją p. Obsta, rozpoczęła się druga, mająca zademonstrować światu protest czterystu księży diecezji wileńskiej, wykrywających rzekomo zdradzieckie zamachy swego biskupa na całość i nietykalność ich prastarej diecezji.

Ale kto taki protest napisze? Istotnie, pytanie! Dziwnym zbiegiem okoliczności tak się stało, że wszystkie niemal siły pisarskie wśród księży Polaków znalazły się w sztabie endecji wileńskiej, gdzie stanowią z p. Obstem *cor unum et animam unam*. Wybaczy nam łaskawy czytelnik, że tu właśnie gubią się nasze nici przewodne i nie możemy żadną miarą zaspokoić słusznej jego ciekawości co do tego, czy protest czterystu księży napisał p. Obst, czy też jeden z senatorów wileńskich, czy wreszcie obaj razem ułożyli go za biurkiem redakcyjnym „Dziennika Wileńskiego“. Niestety, tajemnica ta odsłoniętą zostanie nie wcześniej, jak na Sądzie Ostatecznym. Jedno już jest dziś pewnym, mianowicie, że udział samego kleru wileńskiego, bardzo ociężałego do pisania, w ułożeniu protestu jest *znikomo małym*. Trudu tego podjęli się usłużni wyręczyciele, a gdy protest był całkiem gotów, zręcznie wykorzystano znowu gromadną obecność księży w Wilnie, podczas corocznych rekolekcji, by zebrać owe czterysta podpisów. Podpisy te kładziono, nie pytając wcale, kto dał inicjatywę do protestu, z czyjego mandatu i kto redagował, czy treść jego była poddana jakiegóż dyskusji, czy właściwe w niem są argumenta i sam ton? i t. d. Idea takiego protestu, jak również jego wykonanie są robotą czysto endecką. Tak bowiem w pomysł, jak w układzie argumentacji i tonie udział Litwinów i Białorusinów równał się zeru. To wszystko czyni protest czterystu księży z jednej strony charakterystycznym, niejako typowym dokumentem obecnych nastrojów wśród endeckich prowodyrów kleru wileńskiego, z drugiej — dowodem niesłychanej bierności tych, co winni przecież mieć i odwagę cywilną i poczucie odpowiedzialności...

Ledwo zdążył obeschnąć atrament na podpisach czterystu pod sławetnym protestem, jak „Dziennik Wileński“, „Gazeta Warszawska“ i „Rzeczpospolita“ obwieściły światu, jednogłośnie, że wysłannik sztabu generalnego tejże endecji, prof. St. Grąbski już zabiega w Rzymie o... rozgraniczenie, a więc o podział między innymi diecezji wileńskiej! Nawet ślepy, przejrzałby teraz całą nicość zszytego białą nitką naprędcę fałszywego zarzutu, że to właśnie Biskup Wileński

chce rozczłonkowania diecezji Wielki czas, by p. Obst, który wyszedł tu jako wierutny kłamca, odwołał po staropolsku, t. j. z pod ławy, rzucone nań oszczerstwo. Tymczasem endecja potrafiła steroryzować nawet biskupa sufragana, wciągając pośrednio osobę prymasa Polski do sprawy, którą rozstrzygać winny tylko czynnik kościelny, a nie pp. Obstawie i Grabscy. To tłumaczenie się hierarchów kościelnych przed endecją, stanowi zaiste znamienne *signum temporis*.

Diecezja wileńska, stanowiąca w miniaturze W. Ks. Litewskie, bo zamieszkała przez Białorusinów, Litwinów, Polaków i Ukraińców, stanowi pewną harmonijną całość, którą z krajowego punktu widzenia szkoda byłoby dzielić. Jeśli zaś to jest nieuniknioną koniecznością, to niech ten podział nastąpi między diecezją wileńską a kowieńską i mińską. Najzupełniej też Wilno zasłużyło, by jego stolica biskupia, strażniczka grobu Św. Kazimierza, podniesiona została do godności arcybiskupstwa.

* * *

Prawdziwem jest nieszczęściem, że kler polski diecezji wileńskiej, z powodu swej tradycyjnej uległości, nawet bierności, względem nakazów endecji, nie chce czy też nie umie się zdobyć na krytyczną jej ocenę, i nie dostrzega wcale, jak systematycznie to stronnictwo pracuje wśród inteligencji i ludu nad sfalszowaniem pojęcia katolicyzmu *rzymskiej*, zastępując je surogatem swej fabryczki partyjnej. By kler polski do reszty zaniewidział ten oczywisty fakt, endecja ustawicznie sypie mu w oczy frazesem o niebezpieczeństwie masoniściem, które jeśli u nas istnieje i zagraża, to w znacznie dalszej perspektywie, niż *niebezpieczeństwo endeckie*. Ostatnie stoi u drzwi naszych domów, miast i wiosek i faktycznie usiłuje z serc ludzkich wyplenić rzucony tam przed kilku wiekami siew nauki Chrystusowej, nakazującej uważać bezwzględnie *każdego* człowieka za bliźniego i brata,—by na tem miejscu zasadzić tak obcą chrystjanizmowi i katolicyzmowi, dawną zasadę *żydowskiego* nacjonalizmu, który się hermetycznie zwykł był się zamykać przed każdym nie-Żydem.

Zadaniem tedy chwili obecnej jest bronić u nas podstawowych ideałów nauki Chrystusowej przed koncentrycznym na nie atakiem endecji, mającej jzelnosć glosić publicznie, że Polak a katolik, to cedno! Kwestją najbliższego tylko czasu jest sprecyzowanie tej tezy w sposób jeszcze jaskrawszy: endek a katolik, to jedno!! Ta propaganda nie ustaje z tysięcy numerów endeckich, ambon, szkół powszechnych... Dlatego każdy, rzeczowo oceniający u nas sytuację obecną Kościoła, musi sobie jasno powiedzieć: *nie trzeba lepszej masonerii niż nasza endecja, nie trzeba lepszych masonów niż nasi endecy!* Pckonajmy wprzód wielki zaiste a zgubny wpływ w kraju rodzimym Wielkiej Loży Endeckiej, a już łatwo damy sobie radę z różnemi Wielkimi Wschodami, krajowemi i obcemi.

Endecja ciągle jednak deklamuje o roztaczanej przezeń nad Kościołem opiece, o świadczonej mu obronie, wysokim dlań szacunku etc., tymczasem, cichaczem a wytrwale dąży do władzy zupełnej nad Kościołem, pragnąc uczynić zeń powolne narzędzie ciasnego nacjonalizmu. Wobec powyższego czyż nie jest endecka opieka i obrona dla Kościoła tem, czem śmiertelne uściski pytona dla nieszczęsnego wędrowca przebywającego lasy podzwrotnikowe?! Troska endecji o sprawy wewnętrzne Kościoła jest tedy zręcznym podejściem jego, jest ostrym sztychem w jego katolicyzm czyli powszechność. as.

Dwie dusze.

(Z powodu art. „Wschód czy Zachód?” p. Konstancji Skirmuntt).

Przed paru laty ukazała się pod tym zagadkowym tytułem „Dwie duszy” powieść w języku białoruskim napisana przez utalentowanego literata M. Hareckiego. Jest to jedna z prób, w tym wypadku w formie beletrystycznej, zbliżenia się do rozwiązania coraz bardziej uwypuklającego się zagadnienia na gruncie białoruskim wschodniej czy zachodniej orientacji kulturalnej. Stale też pod rozmaitemi postaciami temat ten jest omawiany w prasie codziennej i rozmaitych wydawnictwach. Wzięte to razem stwierdza aktualność i doniosłość zagadnienia.

W początkach pracy odrodzeniowej trzeba było zetknąć się z tem pytaniem i to nawet od razu na terenie wybitnie praktycznym. Trzeba było powiedzieć sobie w pracy chociażby wydawniczej — czego się mamy trzymać czy łacinki czy też „grażdanki”? Wtedy nie było mowy o głębszych dociekaniach psychologicznych. I redakcja „Naszej Niwy” nieświadomie doskonale uporała się z tą trudnością. Rozpoczęła wydawać każdy numer obu rodzajami czcionek. Trudności techniczno-finansowe zmusiły co prawda później do przejścia po uprzednim porozumieniu się i zbadaniu woli większości anonentów, na jedną tylko „grażdanke”. I ten kłopot powtarza się później często. Przy każdym druku zapytywano się siebie — łacinka czy grażdanka i zupełnie niesłusznie, traktując rzecz zasadniczo, klasyfikowano w ten sposób, że o ile wydawnictwo miało przypuszczać objąć teren katolicki — drukowano łacinką, o ile bardziej zahaczało o prawosławnych — pisano grażdanką.

W ten sposób zaradzano niby trudności. I jako wynik tego widzimy, że od lat kilku już wszystkie książki są drukowane grażdanką. Dzieje się to zupełnie przypadkowo tylko. Warunki polityczne, które podzieliły Białoruś na dwie części, pozostawiły centrum w Mińsku bardziej pod wpływami wschodniemi. I dzięki znowu odmiennym warunkom pracy kulturalnej w Sowieckiej Białorusi większość pracowników własnowolnie a często i pomimo swej woli tam się zgromadziła. Wilno, które przodowało przed wojną, obecnie inną pozycję zajmuje. I teraz wydawcy i w Wilnie już się nie biedzą jakim alfabetem drukować. Mińsk wyrabia grunt, przygotowuje czytelnika, kształci inteligenta, a ponieważ Mińsk ma grażdankę, więc i tutaj ma ona prawo obywatelstwa. Powierzchniowie więc patrząc na sprawę można sądzić, że Białoruś skierowała się na wschód. Nie wchodząc w tej chwili w rozwiązywanie, czy tak jest czy też inaczej, bo mamy tutaj do czynienia z rozmaitemi czynnikami różnej natury, bardziej i mniej poważnej, a które rzeczywiście wycisnęły nowe, dotychczas nie tak wyraźne piętna na duszy Białorusina, zadać należy sobie pytanie, czy istotnie grażdanka oznacza bezapelacyjną przynależność do wschodu?

Idąc szlakiem utartego przyzwyczajenia w wydawaniu sądów, trzeba by powiedzieć, iż tak jest rzeczywiście. Ale w samej rzeczy, czy tak jest? Bo z drugiej strony przecież nikt nie będzie się spierał i przeczył, że myśl jedna może objawiać się w rozmaitych formach i forma może się dopasowywać do zewnętrznych warunków, ale przez to sama się nie zmienia. Doskonale upostaciwienie tego mamy cho-

ciażby w kościele rzymsko-katolickim. Ten jest przecie więcej powszechnym, niż zachodnim, i momenty w nim zawarte natury ogólnej, dają też możność doskonałej współpracy narodom o charakterze najbardziej wschodnim. A dalej czy prace uczonych rosyjskich, dlatego tylko że były pisane po rosyjsku, musiały przez to samo już się określać jako okazy barbarzyństwa wschodniego? Życie wykazało i potwierdziło, że tak nie jest. Kilkudziesięcioletnia odrodzeniowa praca Ukraińców znowuż potwierdza pewnik, że grażdanka nie stanowi muru granicznego pomiędzy kulturą a dzikością. I w jeden, zarówno jak w drugi sposób można zdążać do tego samego celu i z jednakowym skutkiem go realizować.

Cała tedy trudność kryje się w drugiej stronie zagadnienia, a to w jej stronie praktycznej. To znaczy w tej chwili, by osiągnąć jaknajwocześniejsze rezultaty, czego mają się trzymać inteligenci białoruscy w pracy pośród mas ludowych? I o ile w rozwiązaniu co do samej zasady nie było trudności, to tutaj jest gorzej.

Traktując rzecz historycznie, tradycyjnie należałoby się trzymać grażdanki. Ona, to jest właściwie cyrylica, jest czemś bliższem, z nią się wiążą wszystkie wspomnienia kwitnącej ongiś kultury. Dla prawosławnych zresztą ona jest nie do zastąpienia, w tym jedynym wypadku cerkiew prawosławno-rosyjska zostawiła ślady, że nauczyła się obawiać wszelkiej łacińskości, a więc i łacinki. I właśnie nieświadomie białoruska praca wydawnicza biorąc pod uwagę to przywiązanie, poszła w tym kierunku. Ale nie zdaje się sprawy, a raczej nie chce się zdać sobie sprawy, że w ten sposób fala młodej, nowej myśli narodowej nie wszędzie dochodzi tam, gdzieby dojsć musiała. Aczkolwiek pokolenie starsze, dotychczas wyłącznie czynne, z części katolickiej Białorusi nie widzi nic wrogiego w grażdancie i co najważniejsza nie jest ona dla niego żadną przeszkodą w czerpaniu z dorobku kulturalnego, to jednak z pokoleniem dorastającym już jest inaczej. Obecnie często trzeba spotykać się z trudnością ogromną w prowadzeniu pracy oświatowej pośród młodzieży na wsi. Jak się tylko wnosi myśl nową, dotychczas im obcą, jak się tylko obudzi uczucie narodowe, zjawia się żądanie książki. Katolicy, w kościele przyzwyczajeni do łacinki, inaczej czytać nie potrafią. Tymczasem literatura temi czcionkami wydawana, staje się coraz rzadszą i to cała bieda! Nieraz młodzi chłopcy uczą się poznawać inne czcionki, by tylko mieć możność czytania, ale to wymaga już wielkiego nakładu nie tylko dobrej woli, ale i możliwości i czasu, co nie zawsze idzie w parze ze sobą. A przecież katolicka część wynosi, jak się z grubsza określa, $\frac{1}{4}$ wszystkich Białorusinów, z tego zaś tylko na trzy województwa kresowe (wileńskie, nowogródzkie, poleskie) wypada 1,036,063 ludzi, gdzie zamieszkują okolice przeważnie w zwartej wyznaniowej masie.

Na to właśnie pora wielką zwrócić uwagę. Ktośby powiedział, że wprowadzanie tego rozdwojenia będzie zabójczem dla jedności narodowej, że przez to nigdy należycie praca kulturalna rozwijać się nie będzie mogła! Rzeczywiście mogłoby się wydawać tak na pierwszy rzut oka. Przedewszystkiem wszelka próba dwuczcionkowa pociąga za sobą ogromne koszty wydawnicze! Ale właśnie w życiu narodów dzieją się często rzeczy dziwne, których wymierzyć i wykalkulować, posługując się tylko rozumem ludzkim, nikt nie jest w stanie. Bo czyż rozumowo, rzeczowo ktośby potrafił przed laty kilkudziesięciu wy-

wnioskować i przypuścić chociażby tylko w rysach ogólnych, dzisiejszy stan kwestji białoruskiej? To co nie jest absurdem, nie wykracza poza sferę możliwości. I dlatego czy w tej trudności, przed jaką stoją Białorusini, nie kryje się pewna myśl twórcza? Toż to właśnie dodatek konieczny do wytworzenia pełnego obrazu „dwóch dusz“, ale dwóch dusz nie w niewyraźności, nie w walce ciągłej ze sobą, jaką widzimy w powieści, o której wspomniałem, ale dwóch dusz w twórczej pracy i kroczeniu do wytworzenia jaknajdoskonalszej syntezy z jednej i drugiej. Bo czyż dziejowo rozpatrywany ten moment nie jest cudownym sam w sobie?

Mesjanizm nie jest modnym, krytycy jego powiadają nawet, że to właśnie objaw zdegenerowane myśli specyficznie polskiej. Spierać się nie będę, bo wiele rozmaitych tutaj może być punktów widzenia. Zwolennikiem mesjanizmu zachłannego, wojującego i dumnego, co razem wskazuje na jego nienaturalność, nie jestem. Uznaję natomiast, że i naród każdy, podobnie jak człowiek, nie jest w sobie jakąś zamkniętą całością, a że jest jaknajściślej powiązany z innymi narodami i musi wypełniać pewną rolę, narzucaną jemu przez te czy inne warunki. Niezrozumienie zawsze pociąga za sobą następstwa. I narody wszystkie, tak czy inaczej, ale zdają sobie sprawę ze swojej misji. Inna to już sprawa, że na pytanie: „jaka jest rola twojego narodu“ — nie każdyby potrafił odpowiedzieć. Oznacza to tylko, że nie zawsze potrafimy zorientować się w całokształcie każdego zagadnienia.

Wobec tego nie będziemy się zbytnio dziwić, widząc że Białorusina nie przerażają trudności alfabetyczne. Nawet są bliskie jemu, i cała ta podwójność jakby jest współmierna jego duszy. I nie trzeba się bawić w przypuszczenia, która z tych dusz u niego zwycięży i pociągnie go za sobą, bo najgłębiej te dusze się zlewają ze sobą i stanowią najzupełniejszą całość. W historii mamy już jeden podobny przykład u południowo-zachodnich słowian. Nie dał i nie daje dotychczas tych rezultatów, których się spodziewałby mogli zwolennicy „dwoistości“. Przed Białorusinami leży jeszcze przyszłość i ona pokaże, czy pragnienia tego rodzaju syntetyzowania byłyby do podjęcia przez naród słaby pod każdym względem, w przeszłości i terażniejszości, a spodziewający się lepszej doli tylko od jutra. Aby to jutro było innym od dnia dzisiejszego — należy ze swej strony starań dołożyć. I oto jesteśmy w tem zaczarowanym kole, z którego najzupełniej słusznie, nie mogą wyjść sfery kierownicze białoruskie. „Najzupełniej słusznie“ odnoszę nie do tego stałego kręcenia się bez żadnej zmiany, wpływają tutaj przyczyny najzupełniej zewnętrzne, a godnym podkreślenia jest że pomimo wszystko, wszystko właśnie się robi, by wyjść z zaczarowanego koła i zdobyć własną narodową szkołę. To więc się robi i wierzymy, że dążenie skończy się pomyślnie. Ale przypuściwszy, że nastąpiło rozwiązanie pomyślnie i że można będzie rozpocząć pracę — w jakiej postaci i formie zjawi się szkoła we wsi katolickiej: Czy przyjdzie z podręcznikami, chociaż i w Wilnie wydawanymi, ale wyłącznie grażdanką? To byłoby najzupełniej niewskazanem. Katolik — element wszędzie mocno religijny, a przez to łatwo podpadający pod wpływ kleru, a domyślić się łatwo jego stanowiska wobec „prób sprawosławienia“, jakby zaraz określono tego rodzaju próbę. Oczywiście to moment nieistotny, ale zawsze poważny.

Z przyczyn jednak zupełnie istotnych należy

poniechać myśli niwelowania dotychczasowej dwiistości. Ale ponieważ ostatecznie szkoła bez książek się nie obejdzie, należy temu jakoś zaradzić. Wydawnictwa przedwojenne szkolne, drukowane łącznie, są albo wyczerpane, albo już w ciągu tych kilku lat stały się przestarzałymi, trzeba pomyśleć o nowych. Dzisiaj to trudność ogromna, ale do pokonania, a wszelkie ofiary ponieść należy, mając na względzie paromilionową rzeszę przyszłych obywateli.

Czy z tego wynikałoby, że tylko początkowa szkoła miałaby się posługiwać alfabetem łacińskim, a wyżej używanoby grażdanki, tak jak jest dzisiaj? Nie stanowiłoby to, gdyby początkowo i było tak, żadnego hamulca w wychowaniu i wykształceniu młodzieży. Widziałem sam, jak uczniowie klasy drugiej, trzeciej po dwóch dniach znakomicie czytali „grażdankę”, której nigdy przedtem nie oglądali. Przejście odwrotne jest podobnie łatwe, a może i łatwiejsze, dzięki znajomości alfabetu łacińskiego nabytej przy nauce obcego języka. Ale pozostawienie „wyższej sfery” wydawnictw w stanie i formie dotychczasowej nie jest przesądzonym. Przeniknięcie się myślą, że zarówno Wschód i Zachód mają w sobie rzeczy wielkie i godne szacunku wytworzy dążenie do czerpania możliwie obfitszego i z jednego i drugiego; że zaś czcionki podwójne różne kultury reprezentują, będziemy korzystali i z jednych i drugich, zawsze pamiętni, że duch tworzy formę a nie odwrotnie.

Dryhwicz.

Inne czasy, inne pieśni...

Nawet wśród endeków rzadko się przemyca równie jaskrawa nieprawda, jak ta, którą świeżo znaleźliśmy we fragmencie ukazujących się w „Gazecie Warszawskiej” wspomnień R. Dmowskiego pod tytułem „Jak odbudowano Polskę”. Otóż autor tych wspomnień; a wódz naczelny endecji pisze ni mniej ni więcej: „Wobec istnienia wśród Litwinów od lat blisko pięćdziesięciu ruchu w kierunku odrodzenia narodowego, nie odmawialiśmy im prawa do odrębnej organizacji politycznej”. W tem zdaniu każde słowo jest fałszem!

Zacznijmy od samych pojęć, któremi operuje p. Dmowski. Otóż dla olbrzymiej większości jego rodaków, w ciągu tych lat blisko pięćdziesięciu, w odniesieniu do Litwinów wcale *nie* istniało w sensie dodatnim pojęcie „ruch w kierunku odrodzenia narodowego”. Zastępowano je stale np. chłopomaństwem, litwomaństwem, agitacją warcholską, demagogją klasową i t. d., słowem wszystkim, tylko *nie* ruchem odrodzicielskim. A jeśli brakowało zgoła odnośnego pojęcia, nie może być też mowy o „istnieniu” jego, jako o istnieniu czegoś nieistniejącego, co jest absurdem. W okresie powyższym wciąż mówiono tylko o *sztucznym* posiewie wrogich hasel, przywiezionych przez uczącą się młodzież litewską z Moskwy lub Berlina, o *fabrykowaniu* przez rząd rosyjski dla Polski nowych antagonistów, o *niezdrowej* psychozie szowinistycznej i t. d., czyli eliminowano stąd zupełnie pojęcie *pozytywne* istnienia ruchu naturalnego, nasadzając wzamian samą negację (sztuczność, fabrykowanie, niezdrowie)...

Dziś się mówi o „latach blisko pięćdziesięciu” istnienia ruchu litewskiego, ale jakże niedawno jeszcze genezę tego zjawiska wyprawdzano z lat 1903—

1905, uważając czas poprzedni w życiu narodu niejako za *tabula rasa!* Dziś się mówi o „odrodzeniu narodowym”, ale jakże świeżym jest w naszej pamięci czas, gdy odmawiano Litwinom prawa do nazywania się narodem w całej pełni, wzdurliwie traktując ich, jako „narodek”?! Gdy żadnych ich dążeń nie uznawano, a w każdym odruchu upatrywano niebezpieczeństwo dla siebie?!

Jednak nieprawda tezy p. Dmowskiego triumfuje szczególnie tam, gdzie wspaniałomyślnie dziś mówi: „nie odmawialiśmy im prawa do odrębnej organizacji politycznej”. Nasamprzód stwierdzić trzeba, że przez długie lata ruch litewski sam nawet nie wysuwał postulatu niepodległości politycznej, więc nikt też nie miał żadnej możliwości odmawiania mu jej. Było atoli nierównie gorzej, bo najwyraźniej a najkategoryczniej odmawiano mu postulatu o wiele skromniejszego: prawa do odrębnej organizacji narodowej, piętnując taki separatyzm obronny. Był czas, i to nie tak już dawno, gdy samą myśl o tem uważano niemal za grzech przeciw Polsce, za bluźnierstwo przeciw jej majestatowi, za świętokradzkie targnięcie się na najwyższą świętość przeszłości polskiej... Dosłownie nacjonalistyczna publicystyka polska piętnowała takie dążenia nie inaczej, jak zdradzieckim podstępem szatańskim, od którego co sił trzeba się tylko odżegnawać...

Idealem Polski w stosunku do Litwy było *całkowite* spolszczenie się jej ludności. I uważano to za rzecz całkiem naturalną, najlogiczniejszą w świecie, normalną i oczywiście najlepszą dla samej Litwy i Litwinów. Jakże tedy strasznie daleko odbiega od rzeczywistości w swych wywodach p. Dmowski!...

Dalej pisze wódz naczelny endecji tak: „Polsce istnienie odrębnego narodu litewskiego nie przeszkadza”... Nie bierzemy się sądzić, co w tajnikach swoich żywi i jakie uczucia ma p. Dmowski względem Litwinów. Oprzemy swe sądy tylko na tem, co myśl polityczna polska uzewnętrzniła w różnych swych enuncjacjach. Z niezliczonych zaś syrenich wołań do Litwinów, by przyjmując wyższą kulturę polską i doskonalszy język polski, stopili się z narodem polskim w jedno, wolno wywnioskować, że jednak istnienie odrębnego narodu litewskiego nie zupełnie było i jest po myśli przeważającego ogółu o orientacji wszechpolskiej. Nawet *niezależnie* od tego, będzie czy nie będzie używany Litwin za narzędzie przeciw Polsce.

Najwyżej godzono się tolerować ten dziwny upór Litwinów, chcących mimo wszystko być i zostać narodem odrębnym. Użyte przez p. Dmowskiego „nie przeszkadza” oznacza właśnie cierpliwe znoszenie cudzego zaślepienia. Biedni ci litewscy „mąjacy”!

Ale pyszny i p. Dmowski, gdy mówi, że Polsce nie przeszkadza istnienie odrębnego narodu litewskiego... „pod warunkiem, żeby nie był używany przez jej wrogów za narzędzie”. Więc i nie przeszkadza i razem może przeszkadzać. Cóż ma tedy uczynić Polska w razie tej drugiej ewentualności, t. j. gdy zacznie jej przeszkadzać istnienie odrębnego narodu litewskiego? Gdy grozić będą z jego strony jakieś niebezpieczeństwa? Jakie środki Polska przedsięwzięmie w celu zlikwidowania niebezpieczeństwa litewskiego?

Myli się p. Dmowski, twierdząc że naród litewski odrodził się tylko „na gruncie odrębności językowej”, bo przecież nikt z działaczy litewskich zastrzeżeń tego rodzaju nie czynił, a tradycja państwo-

wości litewskiej z Wilnem, jako jej ośrodkiem, owszem tkwiła od zarania ruchu litewskiego. Żaden naród,—najmniej może polski,—nie godzi się z tem, by na wieki pozostać tylko na tym obszarze, gdzie dziś jego mowa panuje.

Po szeregu tych zdań, pozbawionych prawdy wewnętrznej, p. Dmowski, jako endek najprawowierniejszy, wraca do zwykłej tezy endeckiej, że wolnej a niepodległej Litwy chcieli i chcą tylko... Niemcy, masoni, Żydzi, *quod erat demonstrandum*.

Od tego właściwie należałoby p. Dmowskiemu zacząć... Gdzie problem litewski jest nieznany lub znany b. mało, jak w rdzennej Polsce, może znaleźć wiarę gadanina p. Dmowskiego, ale przedruk jej w Wilnie świadczy tylko o lekceważeniu swych czytelników przez redakcję „Dziennika Wileńskiego“.

Latovicus.

Z mego notatnika.

Niszczycielstwo i twórczość.

Jeden z naszych czytelników pisze do nas pod datą d. 24 października: „Będąc dzisiaj na Górze Zamkowej zauważyłem kilku saperów, wycinających krzewy i gałęzie u stóp baszty. Na moją uwagę, że bez roślinności góra osunie się, co grozi ostateczną ruiną prastarym murom, żołnierze tłumaczyli się wyraźnym rozkazem oficera inspekcyjnego 3-go pułku saperów. Analogiczną odpowiedź otrzymał dozorca ogrodu“. W dalszym ciągu korespondent nasz nie szczędzi dosadnych epitetów pod adresem miejscowych czynników wojskowych wnioskując słusznie, że niszczytelkie ich zapędy w Wilnie zapewne są związane z przeświadczeniem władzy o sezonowym ich tu pobycie, bowiem w Warszawie pewien generał za wycięcie drzewka w parku Skaryszewskim dwa lata temu otrzymał dymisję w przeciągu 24 godzin.

Być może, aby tego rodzaju uwłaczającym posądzeniom kres położyć, aby przekonać ogół, że wojskowość tutejszą nie tylko niszczy, ale i tworzyć potrafi—stanął w dniu 31 października ze składek żołnierskich i oficerskich pomnik Mickiewicza na podwórzku koszar na Śniłpiskach za Wilją.

Mimo, że dzienniki z naciskiem podkreślają, iż jest to tylko *model* pomnika, wykonany z drzewa i cementu według projektu prof. Pronaszki, że ma on charakter wybitnie prowizoryczny—nie da się zaprzeczyć, że wystawiono twórcy „Ody do młodości“ w jego rodzinnym mieście nie co innego, tylko właśnie pomnik. Tak zrozumieli ten fakt i szeroka publiczność wileńska i ci cudzoziemcy, do których wieść o „pomniku“ dotarła, jak o tem świadczy telegram gratulacyjny prezydenta Masaryka. Utwierdzają w tem przekonaniu zresztą: uroczyste odsłonięcie pomnika z udziałem władz cywilnych, wojskowych i kościelnych, monumentalne rozmiary posągu oraz ustawienie jego nad samym brzegiem Wilji, aby podziwiać go mogły tłumy.

Jakoż istotnie podziwiają. Widziałem wielu przechodniów, śmiejących się do rozpuku. Najniestuszej. Raczej płakać należy. Pospęne straszdyło to, wyrastające na 12 podobno metrów wprost z ziemi, w pozie hieratycznej przypomina trochę sfinksy egipskie, trochę posągi bóstw asyryjskich. Nie można nawet odmówić dziełu prof. Pronaszki wysokich wa-

lorów artystycznych. Biją zeń niewątpliwie tajemnicza moc i groza. Tak pojęty pomnik np. Lenina gdzieś u stóp gór Uralskich lub na granicy bezpłodnych stepów nadkaspjskich wywierał by potężne wrażenie swą niesamowitością.

Ale w otoczeniu miniaturowych domków i ogródków pióromonckich, na tle „niebieskolicej“ Wilji ponura sfinksowa postać „Promienistego“ wydaje się czemś arcy-dziwaczem, razi i odpycha.

Cóż jednak poradzić na to, jeżeli, jak oświadczył w przemowie swej gen. Berbecki, „żołnierz polski nie mógł ścierpieć dłużej, aby pomnika Mickiewicza w Wilnie nie było; zdobył się więc na co mógł!“ Mogło być gorzej: mógł się zdobyć na pomnik według projektu artysty Hermanowicza, który figurował na świeżo zamkniętej wystawie sztuki i rzemiosł...

Jest wprawdzie rada: niech żołnierz polski mniej gospodarzy w naszym Wilnie; ocaleją wówczas stuletnie sosny w Zakrecie, stare dęby w Burbiszkach i młode zarośla na Górze Zamkowej, nie dojdzie zaś do nieudanych eksperymentów pomnikowych, ale na to trzeba, aby żołnierz pozostał tylko żołnierzem, a T-wo Miłośników Wilna i Magistrat składały się z ludzi, szczerze i głęboko przywiązanych do swego rodzinnego grodu.

Licz.

Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Delegatura rządowa w Wilnie, a polityka kresowa. Na marginesie sprawy białoruskiej).

Posel Wygodzki zabiera głos na łamach „D Cajt“ w sprawie delegatury rządowej i jej polityk kresowej. Na wstępie p. Wygodzki z całym naciskiem podkreśla odrębność Wileńszczyzny, poczem stwierdza,

„Jasnym stać się winno dla wszystkich, że droga autonomji i dobrego traktowania ludów mniejszościowych jest nietylko dla Anglii, lecz i dla każdego narodu jedyną nowoczesną drogą, wiodącą do jedności i konsolidacji wszystkich sił w kraju. Niestety Wileńszczyzna jest krajem „kresowym“, a dla takiego kraju ideologja endecka opracowała w czasie niewoli polskiej całkiem osobliwą „politykę“. Polityka ta w krótkości polega na tem, że kresy polskie należy asymiltować środkami przymusowymi, nie cofając się przed gwałtem i nie wybierając w środkach, w mieście — Żydów, na wsi — Ukraińców, Białorusinów, Litwinów.. Poza tem trzeba Żydom dokuczać i wyrugować ich z placówek ekonomicznych, przy pomocy państwa i za fundusze, wpływające głównie od samych Żydów.

„Delegatura wileńska, gdyby mogła się zorjentować w tej sprawie powinna była pojąć, że 1) żadnymi środkami nie można się Żydów pozbyć, 2) że Polska jeżeli pragnie się tu mocno usadowić może się oprzeć na Żydach“.

Posel Wygodzki wyraża następnie przekonanie, iż obecnie nastal czas czynów, a nie częściej gadaniny dyplomatycznej, którą Żydzi wileńscy znają już na pamięć. Wreszcie wytyka on delegaturze wileńskiej, iż poczynając od czasów Osmołowskiego, nie miała ona nigdy własnego poglądu i ujawniała zawsze krótkowzroczną politykę w sprawach żywotnych Wileńszczyzny i dochodzi do następującego wniosku:

„Gdyby na czele delegatury stał prawdziwy mąż stanu z daleko sięgającym wzrokiem, to jego przywiązanie do Polski musiałoby podyktować mu jawny protest przeciwko polityce eksterminacyjnej, która przynieść może korzyść tylko wrogom Polski. Taki człowiek mógł-

by i musiał otworzyć oczy polskiej władzy państwowej i zapoznać ją z prawdziwym stanem kwestii polskiej w naszym kraju. Nastąpiła więc teraz chwila do zrewidowania i do szybkiej zmiany całej polityki w Wileńszczyźnie, wobec wszystkich ludów wogóle, a Żydów w szczególności".

Oczywiście, iż przy obecnym kursie szowinizmu i unifikacji, głos pisał Wygodzkiego pozostanie głosem wołającego na puszczy.

„Nasz Przegląd” poświęca artykuł wstępny sprawie białoruskiej. Przytaczając wyjątki z artykułu w tej sprawie z tygodnika postępowego „Jutro”, informującego premiera Grabskiego, że Klub Białoruski, w którym konferował, to zwykła spelunka karcarska, publicysta „Naszego Przeglądu” wypowiada następujące niepozabawione słuszności uwagi:

„Paktowanie rządu z samozwańcami nie ma żadnego precedensu w dziejach walki narodu polskiego o swe prawa w państwach zaborczych, choć przeciw rządzących państw demokratyzmem się nie odznaczały.

Wszelki rząd, który naprawdę chce coś konkretnego dać pewnej mniejszości narodowej, znajduje zawsze chętnie elementy umiarkowane, które hołdują zasadzie: „lepszy wróbel w ręku niż gołąb na sęku”. A gdy szersze warstwy społeczne przekonują się, że udzielane ustępstwa nie są papierowe, odpowiednia partja pojednawcza która ustępstwa te zdobywa, zyskuje coraz większe wpływy. W ten sposób między rządem a społeczeństwem mniejszościowym odbywa się wymiana usług: rząd daje prawa, a społeczeństwo zapewnia mu poparcie. Natomiast od samozwańców rząd nic nie ma. Toć nawet reakcyjny Beseler, przedstawiciel militarystycznej okupacji wilhelmowskiej rozumiał, że ugoda z Władysławem Studnickim nic mu nie da, choćby ten darował mu całą Polskę bez zastrzeżeń, jak Zagłoba darował Niderlandy królowi szwedzkiemu”

Miecz. Gold.

Bibliografia.

Sławiński Witold. *Zielone jeziora pod Wilnem.* Przyczynki do znajomości flory okolic Wilna. II.) Wilno. 1924. Str. 233, 24 ryciny, 1 tablica i 3 mapy.

Jak sam tytuł wskazuje, dzieło niniejsze jest pracą o charakterze specjalnym, naukowym. Młody uczyony, asystent przy katedrze botaniki w obecnym uniwersytecie wileńskim, wnuk Piotra Sławińskiego, profesora astronomji w dawnym uniwersytecie wileńskim dał się już poznać z kilku drobnych przyczynków, drukowanych po rozmaitych czasopismach i w osobnych broszurach, jako gorący miłośnik ojczystego kraju, zwłaszcza jego natury i krajobrazu.

Dwa lata temu wyszła w Wilnie z pod jego pióra większa praca p. t. „Przyczynki do znajomości flory okolic Wilna. Cz. I. Historia i bibliografia”, która była niejako wstępem do omawianej monografji o roślinności Zielonych Jezior i ich najbliższych okolic.

Nie podejmujemy się oczywiście jej oceny nie posiadając odpowiednich kwalifikacyj naukowych, pragniemy jedynie zanotować dodatni fakt ukazania się w druku w Wilnie dzieła naukowego, będącego plodem samodzielnych badań, wzbogacającego szczerą naszą literaturę fizjograficzną, a owianego przytem duchem szczerego umiłowania kraju, wolnego od wszelkich ubocznych tendencyj, niestety tak często widocznych w poczynaniach importowanych w ostatnich czasach do nas obficie rozmaitych sił kulturalno-naukowych.

a.

Acta Academiae Velehradensis (Quorum edendorum curam gerit Ad. Spaldak): Volumen XI 1920—1922. Pragae Bohemorum 1924. Str. 144.

Rok 1905 jest ważną datą w dziejach unjonizmu wśród zachodnich Słowian. Wtedy to ukazał się w Pradze Czeskiej pierwszy numer kwartalnika naukowego *Slavorum Litterae Theologicae*, który rychło potrafił skupić dokoła siebie szereg piór, znanych w piśmiennictwie kościelnym wśród Czechów, Chorwatów, Słoweńców, Ukraińców... Organ ten, pomiędzy innymi zasługami, ma jeszcze tę, że przygotował w znacznej mierze grunt dla słynnych zjazdów w Welehradzie. Po sześciu latach istnienia kwartalnika uznano za słuszne przekształcić to wydawnictwo na *Acta Academiae Velehradensis*,*) ukazujące się normalnie co rok w postaci tomu. Niestety, wojna i drożyzna spowodowały tu pewną przerwę, opóźnienia i wydawanie roczników podwójnych lub nawet potrójnych.

Tom XI, z którego tu zdajemy sprawę, jak i poprzednie, zredagowany został wytrawną ręką Adolfa Spaldaka T. J., zajmującego dziś bodaj czołowe miejsce wśród katolickich uczonych i pisarzy Czechosłowacji. Jak taktownym, dyskretnym a subtelnym być musi redaktor rocznika widać stąd, że w wydawnictwie tem mają, od początku jego istnienia, szeroką gościnę pióra teologów prawosławnych, dla nieskrępowanego wypowiedzenia się bądź w celu informacyjnym, bądź z zamiarem przeprowadzenia tymczasem akademickiej dyskusji. Właśnie Ad. Spaldak celuje znajomością zasad psychologicznych, krytycznych i literackich, co mu ułatwia omawianie tematów polemicznie skądinąd bardzo drażliwych. Dąży on, jak to zaznacza w *Praefatio*, do możliwie pewnego a wszechstronnego oświecenia kontrowersji.

P. Gaimę (Francuz) pogłębia tę spójnię, jaka między kościołami Zachodnim a Wschodnim tworzy doktrynalna w bardzo wielu punktach zgoda Kościoła powszechnego (*cousensus universae ecclesiae*). Wobec znacznie mniejszego zainteresowania się wśród katolików anglikanizmem, niż np. luteranizmem lub kalwinizmem, zupełnie jest na miejscu tu artykuł orientacyjny E. Horedez'a (Hiszpan), dający rzut oka na anglikańską egzegezę znanego tekstu ewangelji *Mt 16, 18* będącego dla katolików klasycznym uzasadnieniem prymatu papieskiego. Zaraz po tych dwóch artykułach zaczyna się dział bibliograficzny, poczem idzie zestawienie niemałego plonu unjonistycznej literatury, wydanej czasu wojny i po niej w Europie Zachodniej. Bibliografia rosyjska zajmuje resztę tomu, to jest prawie 1/3 rocznika. Na wstępie jej spotykamy się z nazwiskiem koryfeusza prawosławnej nauki teologicznej, egzegety o ustalonej sławie wszechświatowej, N. N. Głubokowskiego, mieszkającego dziś na emigracji w Belgradzie. Redaktor *Bogostłowskiej Encyklopedii* zamieścił w Aktach całe studjum, dające zwięzły pogląd na rosyjską literaturę prawosławną, którą tak świetnie zna i wzbogacił szeregiem cennych dzieł. Do najciekawszych należą recenzje pisane przez Ad. Spaldaka (liczne), Fr. Snopka, W. Siergiejenki...

Rocznik Aktów kończy się rozdziałem: *Libri a. 1914—1917*, gdzie wykaz jednych tytułów zajął prawie 60 stron drobnego druku! Przytłaczająca profana znajomość rosyjskiej literatury prawosławnej, połączona ze skrupulatną dokładnością not bibliograficznych przy każdym numerze, każe nam się domyślać

*) Akademia Welehradzka została powołaną do życia na III zjeździe unjonistycznym w Welehradzie w r. 1911.

tu lwiego pazura takiego erudyty, jak augustynjanin o. Aureljusz Palmieri. Literaturę od r. 1918 ma zstawić do rocznika kolejnego książe Volkonskij.

Externa de Slavis i zwykle *Corrigenda* zamykają ciekawy zeszyt.

Na zakończenie jedna uwaga: łacina Aktów jest wprawdzie b. wyszukana, stylową, nieraz piękną, ale też i zbyt trudną dla publikacji, która przeznaczona jest przecież nie tylko dla najwyższych szczytów nauki teologicznej, lecz i dla szerszych kół.

Erka.

Musu Senove. *Nepierodinis žurnalas Lietuvos istorijos medžiagai rinkti. Kaunas.*

Nauka litewska powoli, lecz bez przerwy, rodzi się, krzepnie i coraz mocniej stawia swe kroki na rozłogach długich a szerokich. Boć luki, co przez wieki były zaniedbane, dziś na gwałt trzeba odrobić, by stanąć obok innych narodów, posiadających patent dojrzałości kulturalnej.

Wśród całego szeregu poczynań na terenie naukowym, dziedzina badań historii Litwy wybija się coraz bardziej na czołowe miejsce. Z tych poczynań na szczególną uwagę zasługuje wydawnictwo periodyczne pod tytułem: „Musu Senove“ (Nasza starożytność), które rozpoczęło swoją egzystencję w 1921 r. i ukazało się już 5 książek (zeszytów); subsydjowane jest ono przez Ministerjum Oświaty.

Myśl wydawnictwa powstała, jak to przeważnie bywa, przy milej wieczornej pogawędce, gdy się zbierze trochę starych działaczy lub uczonych. Projekt wydawania „Musu Senove” narodził się właśnie w takich okolicznościach w mieszkaniu prof. Jana Jabłońskiego, znanego filologa litewskiego. Pomyślano i zrobiono! Ustalono program wydawnictwa, nawet dosyć obszerny, stworzono sekcje, a na redaktora zaproszono ks. J. Tumasa, do redakcji weszli: prof. R. Buga, A. Janulaitis i P. Klimas.

Przerzucając stronicę już wydanych zeszytów musimy skonstatować, że zrobiono dużo i redakcja może się pochwalić, że trud nie poszedł na marne. Rozmaitość i mnogość zamieszczonych przyczynków, dokumentów, listów, szkiców historycznych a nawet monografij, zmusza nas do wymienienia tylko najciekawszych i najpoważniejszych prac. Na pierwsze miejsce wysuwają się prace, przedruki dokumentów i poszukiwania archiwalne docenta Waclawa Birzyski, dyrektora Centralnej Biblioteki i znanego zaszczytnie pracownika na polu bibliografii litewskiej. Wszystko to, co wyszło z warsztatu naukowego W. Birzyski nosi piętno ścisłości naukowej i znajomości przedmiotu: „Sprawa biskupa Wołonczewskiego”, „Z archiwów żandarmerji kowieńskiej i wileńskiej”, „Statystyka mieszkańców Litwy pod koniec XVIII wieku”, „Z historii naszej prasy periodycznej” i inne drobniejsze artykuły noszą właśnie wszystkie te cechy, o których wyżej wspomniałem.

Prof. Janulaitis ogłosił listy polskie Dowkonta,

historyka litewskiego, do Narbutta, Kursajtisa, biskupa Wołonczewskiego i biskupa Gedrojcia. Monografia Liszkowa przez J. Reitelaitisa jest ciekawą, lecz literatura przedmiotu nie jest należycie wyzyskana.

Z archeologicznych badań spotykamy prace kap. P. Taraseni „Poszukiwania między rzekami Wilją a Świętą” i P. Butenasa „Nasze góry”.

Pod względem ilości, nie jakości zamieszczonych przyczynków pierwsze miejsce zajmuje ks. Tumas, redaktor omawianego pisma. Należy zaznaczyć, że nie wszystko, co zamieścił nadawało się do druku i nie wszystko należycie zostało opracowane. Przekonywanie dokumentów bez żadnych wiadomości o nich (gdzie się one znajdują, w jakim są stanie i t. d.) nie jest wskazane. Nie wiadomo także pociągnięta została zamieszczona w 2-gim zeszytce „Pieśń o katarzyniarzach (z błędami)? Albo drukując „Księgi rodzajów synów litewskich”, redaktor powinien zaznaczyć obowiązkowo skąd je wziął i kto ich jest autorem. Takie przedruki wartości historyczno-naukowej nie posiadają żadnej. Niektóre listy tak obficie drukowane w każdym zeszytce osób jeszcze żyjących całkiem są nie na miejscu.

Tytuł pisma pomyślany nie zupełnie trafnie, biorąc pod uwagę program i zamieszczane prace. Wreszcie korekta dokumentów powinna być staranniejsza.

Wydawnictwo to nie powinno ująć uwagi historyków polskich, którzy się zajmują historją Litwy.

Wł. Sak.

Jak adkryć bielaruskuju szkołu. Instrukcja na 1924—5 szkolny god i pragramy. Wilnia 1924. Str. 31.

By skorzystać z minimalnych swobód, jakie szkolnictwu białoruskiemu niosą obowiązujące ustawy językowe, „Bielaruskaja Centralnaja Szkolnaja Rada” w sam czas wydała broszurkę niniejszą. Zawiera ona nasamprzód cytaty paragrafów, dotyczących bezpośrednio organizacji szkolnictwa, do których dołączono tłumaczenie i rady praktyczne. Autor lub autorzy tej publikacji przysłowiową łopatą do głowy wykładają czytelnikowi wiejskiemu (na wsi bowiem szczególnie znajdzie to zastosowanie) całą procedurę, poprzedzającą otwarcie ludowej szkółki białoruskiej. Niestety, procedura to dziś długa i nawet skomplikowana. Któż przytem zaręczy, że też nie zaciąży na niej widzimisię biurokracji szkolnej? Dalej broszurka podaje cykl podręczników białoruskich dla szkoły ludowej, plan lekcji w szkole VII-klasowej, wreszcie program nauczania z zakresu kursu czterech klas. Program gdzieniegdzie wydaje się cokolwiek rozwlekłym, ale swoiste tempo nauki w naszych wiejskich szkołach, gdzie nieraz w jesieni trzeba nie powtarzać, lecz dosłownie zaczynać całą naukę ab ovo, wiadać tego wymaga. Programy są pomyślane dobrze.

Spectator.

Treść numeru: Contra spem. — as. Podwójna gra. — Drybicz. Dwie dusze. — Latovicus. Inne czasy, inne pieśni... — Licz. Z mego notatnika. — M. Gold. Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej. — Bibliografja.